



# Kryminala TANGO

**K.S.Rutkowski**

[www.escapemag.pl](http://www.escapemag.pl)

## **KRYMINAŁ TANGO**

Krzysztof S. Rutkowski

### **Skład i łamanie:**

Patrycja Kierzkowska



### **Okładka:**

Dorota Urban

Copyright by Escape Magazine, wydanie drugie, maj 2005

Wydanie pierwsze, Krajowe Bractwo Literackie, 1999

ISBN: 83-60320-40-3

### **Wszelkie prawa zastrzeżone!**

Autor oraz Wydawnictwo dołożyli wszelkich starań, by informacje zawarte w tej publikacji były kompletne, rzetelne i prawdziwe. Autor oraz Wydawnictwo Escape Magazine nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikające z wykorzystania informacji zawartych w publikacji lub użytkowania tej publikacji elektronicznej.

Wszystkie znaki występujące w publikacji są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu tej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Kopiowanie, kserowanie, fotografowanie, nagrywanie, wypożyczanie, powielanie w jakiegokolwiek formie powoduje naruszenie praw autorskich.

**darmowy fragment**

### **Wydawnictwo Publikacji Elektronicznych Escape Magazine**

ul. Spokojna 14

28-300 Jędrzejów

e-mail: [biuro@escapemag.pl](mailto:biuro@escapemag.pl)

www: <http://www.escapemag.pl>

## Fragmenty recenzji książki „Kryminał Tango”

Kilkanaście bardzo sprawnie napisanych niedługich opowiadań.  
Tomik wyprodukowany ze znajomością rzeczy, przenikliwością  
i "ogładą językową" adekwatną do tematu.

Nie sposób uniknąć odniesień do „Murów Hebronu” Stasiuka.  
Bez kompleksów.

**(Kurier Czytelniczy, nr 70 listopad-grudzień 2000r.)**

(...)

Ostre, czasami wręcz szokujące opowiadania więzienne.  
Autor spisał je w celi i dotyczą więziennego życia.

**(Przekrój, nr 9/2000r.)**

(...)

...jedenaście więziennych opowiadań. Dziesięć z nich ukazuje  
brutalną, odrażającą prawdę o sprawkach, które ich bohaterów

przywiodły do celi i międzyludzkich relacjach panujących  
za kratami. Ostatnie, przez autora nazwane epilogiem o metamorfozie  
ze zwierzęcia w człowieka...

(...)

Relacje, z jakimi mamy do czynienia porażają otwartością  
wyznań bohaterów, drastyczną wulgarnością języka, a zarazem  
beznamiętnością relacji i całkowitą ich bezrefleksyjnością.

(...)

**(M. Kołowska, Głos Pomorza)**

(...)

Autor koncentruje uwagę na zdarzeniach brutalnych i krwawych, scenach poniżenia i wykorzystywania współwięźniów.

(...)

Zaletą tej książki jest umiejętność opowiadania, przedstawiania zdarzeń.

Autor posługuje się językiem wyrazistym plastycznym, obrazowym. Umie prowadzić narrację. Operuje zdaniami krótkimi, dobrym dialogiem.

W paru zdaniach potrafi zarysować sytuację.

(...)

Unika komentarza, nie nudzi, nie moralizuje, opis ogranicza - jak w scenariuszu filmowym - do minimum.

Jest to proza rejestrująca, fotograficzna, drapieżna.

(...)

**(Józef Narkowicz, Głos Koszaliński)**

## Spis Treści

Dołek

Noc w Areszcie

Kryminał Tango

Nadziany Frajer

Amor

Hans

Koniobij Sadysta

Ścieżka Zdrowia

Mojka

Morderca

W dłoniach krzyk chowam - Posłowie

## Wstęp

I co tam, młody, znowu bazgrzesz w tym swoim kajeciku?

Że też chce ci się ruszać ręką tyle czasu. Przyjemniej, lepiej byś wykorzystywał tę energię. Jak? Jak? Jak? Siak. A zwałiłyś konia. Pisarzem chcesz zostać czy jaki chuj? O czym tu pisać? Pudło, jak pudło. Beton i kraty. My i klawisze. I ciągle nuda. I tylko czasami jakieś historie. Ale nawet jak je napiszesz to, kto w nie uwierzy? Kto z porządnych obywateli uwierzy, że w przeddzień XXI wieku, w cywilizowanym kraju, za pewnym murem, odbywają się takie harce? Nikt, kurwa, przy zdrowych zmysłach. Lepiej więc odłóż pisak i wypierdol ten kajet.

Najlepiej nie odsłaniać tutejszych tajemnic.

# Dołek

*darkowi dudczakowi*

Budzisz się z chwilą, gdy przekroczysz jego próg. Trzask drzwi, zgrzyt zamka za plecami i to, co przed tobą: półmrok i deski. I oddalające się kroki na korytarzu za ścianą. Dopiero wtedy dociera do ciebie, gdzie jesteś i że to wcale nie jest złym snem. Rozglądając się, nerwowo się uśmiechasz. Jeśli masz szczęście, ktoś już tam jest, leży albo siedzi, albo stoi na drewnianym, szerokim podeście, który przez kilkadziesiąt godzin będzie twoim krzesłem i łóżkiem, z głową zwróconą w zakratowane okno, przez które, jak sam się później przekonasz, prawie nic nie widać. Jedynie kawałek nieba i coś jeszcze, jeżeli masz szczęście: fragment jakiegoś budynku, drzewa... Okno jest wysoko i zwykle nie widzi się nic więcej. Żadnej ulicy, ludzi, samochodów. Jeśli masz szczęście i areszt nie znajduje się na jakimś zadupiu, życie miasta dociera do ciebie poprzez uszy. Chłoniesz je jedynie znajdującym się w nich zmysłem. Przez kilkadziesiąt godzin będzie stanowił twój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

Naprawdę dobrze, jeśli ktoś już tam jest. Przywitanie trwa krótko, uścisk dłoni, wymiana imion, ewentualnie ksywek, jeśli się już jakiejś dorobiłeś. Nazwiska nie są ważne. Niektórzy z tych, co tam trafiają przedstawiają się paragrafem. Każdy obstukany w temacie od razu wie, z kim ma do czynienia. Wtedy nie są potrzebne pytania. Numer paragrafu mówi ci wszystko, co powinienesz wiedzieć o swoim towarzyszu.

Jeśli jesteś zielony, a ktoś, kto już tam jest, jest starym wyjadaczem, w ciągu kwadransa wprowadza cię w nową rzeczywistość. Oznajmia ci pory posiłków i godziny zmian strażników i robi ci mały wykład o celi, w której będziesz musiał spędzić trochę czasu. Pokazuje ci skrytki (zwykle jakieś są, najczęściej pod deskami w podłodze) i miejsce, w którym będziesz mógł się odlać, bez obawy, że zalejesz podłogę, kiedy jakiś wredny strażnik nie będzie chciał cię wypuścić do kibla. Zwykle, gdy naprawdę przyciśnię, leje się na zakratowany kaloryfer, znajdujący się w głębokiej wnęcie w ścianie. Szczyny gromadzą się w nieszczęście pod nim i nie wypływają. Jeśli akurat kotłownia grzeje, po jakimś czasie w celi zaczyna śmierdzieć jak w zapuszczonym miejskim szalecie. Ale wkrótce przestajesz ten smród czuć... Przyzwyczajasz się do niego. Zresztą zapach, który wita cię w celi, gdy do niej trafiasz, jest zupełnie taki sam. Tylko bardziej stęchły. Wiesz, że przed tobą w to samo miejsce lało wielu. Większość strażników ma leniwe dupy i nie chce im się przychodzić na twoje wezwania. Są dwa kaloryfery. Po jednym z każdej strony drzwi. Najlepiej lać na ten

przy drewnianej ławie pod ścianą. Ten drugi znajduje się przy podeście, na którym będziesz spał. Jeśli na niego naszczysz, będzie ci śmierdziec pod samym nosem.

W tym miejscu najważniejsze są papierosy. Pragniesz ich nawet, jeśli nie palisz. Jedyne one uspokajają i pozwalają w miarę jasno myśleć. Jeśli w chwili zatrzymania masz fajki, trafiają z tobą do celi. Co najwyżej profos wysypie ci je z paczki i sprawdzi, czy niczego w nich nie ukrywasz. Zapalki i zapalniczkę też pozwalają ci wziąć... To najczęściej jedyny ludzki gest z ich strony. Jeśli jednak w chwili aresztowania nie masz fajek, a w celi oprócz zapisanych, odrapanych ścian, nikt cię nie wita, pozostaje ci jeszcze przeszukać celę. Od strażnika papierosa nie dostaniesz, zaśmieje ci się w twarz, jeśli go o niego poprosisz. Pozostaje więc cela... Jest wiele miejsc do przeszukania. Wszystkie zakratowane elementy celi, to jest okna, kaloryfery i świetlik nad drzwiami, w którym nieustannie jarzy się małowatowa żarówka oraz poluzowane deski w podłodze... Jeśli będziesz miał szczęście, znajdziesz w którymś z tych miejsc fajkę, ewentualnie kilka niedopalonych petów, a nawet kawałek draski i pojedyncze zapalki. Starzy więźniowie czasami chowają w nich coś z tych rzeczy dla następnych, którzy trafiają tu po nich. W popielniczce, która zwykle jest na ławie, nie ma, co grzebać. Zwykle leżą w niej pety wypalone aż po ustnik.

Popielniczka spełnia też inną rolę. Gromadzi materiał wykorzystywany do więziennego graffiti. Petami świetnie pisze się po ścianach. Zresztą odczytywanie napisów z nich przez kilka godzin będzie stanowić twoją rozrywkę. Jest ich na ścianach bez liku, a niektóre z nich są nawet całkiem zabawne...

Jeśli masz szczęście, jesteś tam z kimś albo nawet z kilkoma osobami. Rozmowy są wybawieniem od myślenia. A myśli dopadają cię w każdej chwili ciszy, natarczywe i okrutne i całkowicie burzą twój spokój. Staraj się więc gadać jak najwięcej. Nie ma sensu analizowanie tego, co zrobiłeś i za co tu trafiłeś, ani okazywać skruchy przed samym sobą. To w niczym ci nie pomoże, jedynie jeszcze bardziej pogłębi. Nawet, jeśli będziesz bez przerwy płakał i przepraszał, nikt cię stamtąd nie wypuści. Wzbudzisz tylko szydery śmiech u wszystkich. A wiedz, że śmiech ten pójdzie za tobą dalej, jeśli zrobiłeś coś poważnego i dołek jest tylko twoim pierwszym etapem na więziennym drodze. A dalej dla miękkich facetów jest już tylko droga przez mękę...

Aha... To już na koniec... Jeśli zależy ci na żołądku, przez te czterdzieści osiem godzin, które mogą cię tam trzymać, żarcia lepiej nie ruszaj. Sraczka po nim murowana. A klawisz, jak to klawisz, na twój dzwonek raz przyjdzie, raz nie. Zależy, jaki akurat ma humor.

## Noc w Areszcie

Przywieźli ją późnym wieczorem w niedzielę. Jej histeryczny płacz postawił na nogi chyba wszystkich. Dyżurujący strażnik wydarł się na nią, a policjantki, które ją eskortowały, zawtórowały mu. Płacz kobiety wzmógł się. Jeszcze przez chwilę próbowali ją uciszyć słowami, potem w ruch poszły gumy. Siedziałem trzy cele od nich i wyraźnie słyszałem głuche uderzenia. Raz, dwa, trzy... Kobieta nawet nie pisnęła. Ale uciszyła się momentalnie.

Po przyjęciu wprowadzili ją do celi, czwartej z kolei, zaraz obok mojej. Musiała być półprzytomna, profos wprowadził ją do celi razem z policjantką, musieli więc ją podtrzymywać.

– Nachlana – skomentował szeptem chłopak, który ze mną siedział. Odszedł od drzwi i wrócił na deski.

Gdy w celi obok trzasnęły drzwi i ciężkie buty klawisza przemierzyły korytarz, a głosy policjantek ucichły na schodach w dół prowadzących do wyjścia z aresztu i ja wróciłem na łóże, które bardziej przypominało taneczny, podwyższony parkiet w wiejskiej tancbudzie, niż cokolwiek, na czym można by było zmrużyć oko. Ale było to „łóżko”, niezwykle, pięcioosobowe. Pięciu roślących mężczyzn mogło rozłożyć na nim swoje zaszczone, nigdy nie czyszczone materace, poźółkłe poduszki i nigdy nie prane koce i spędzić noc, leżąc jeden obok drugiego. Na szczęście było nas tam tylko dwóch.

Ten pierwszy raz przymknęli mnie za pobicie. Miałem osiemnaście lat i byłem pijany. Nie za bardzo, ale na tyle, żeby hamulce, które zwykle miałem, puściły mi całkowicie. Efektem tego było dwóch porozbijanych facetów. Jeden z nich dostał zasłużenie, a drugi miał pecha, bo stanął w obronie tamtego. I choć tylko raz dostał w gębę, smrodził najwięcej. Był jakimś muzykiem, grał chyba na flecie i twierdził, że mój cis, po którym wypadł mu ząb, pozbawił go najbliższego koncertu.

Na dołek trafił ze mną kumpel. Całkowicie niewinny. Facet, który dostał ode mnie w micę, ten przypadkowy, zeznał, że obaj groziliśmy mu śmiercią, gdy chciał z pobliskiego baru

zadzwoić po gliny. I że w mojej ręce widział nóż. Skurwysyn... Nie było żadnego noża, a mój kumpel jedynie przeproszał go za mnie, prosząc, żeby nie dzwonił po policję,

że załatwimy to inaczej. Facet, wtedy w barze, odpuścił. Ale później, szmaciarz, zadzwonił po policję, bo zgarnęli mnie i moich dwóch kolegów jakieś kilkaset metrów dalej, wprost z ulicy. Jednego puścili po wstępnym przesłuchaniu. Drugiego, tego, który próbował grajka ułagodzić, po jakiejś godzinie też wpięprzono do klatki, w której siedziałem na komisariacie... Wsadzono go tam za całkowitą niewinność... No cóż... Wiarę zawsze daje się ofierze.

Gość, który siedział ze mną w celi nie zapłacił grzywny. Miał ksywę Puła. Wcześniej odsiedział sporo z paragrafu, który i mnie próbowano przyklepać. Pocieszał mnie, że taki wpierdol, który spuściłem tym dwóm, to żaden wpierdol i, że dużo mi za to nie zrobią. Co najwyżej grzywna i dozór policyjny... A w najgorszym razie wyrok w zawiasach. Powiedział, że jak wprowadzono na konfrontację faceta, którego przerobił, w pierwszej chwili pomyślał, że widzi nieboszczyka. Delikwent był napuchnięty, siny i całkowicie niepodobny do człowieka. Jakby co najmniej nie żył już od miesiąca. Dali mu za niego rok. Ale on omal go nie zabił.

Noc, kiedy przywieźli tę kobietę, była drugą z kolei. Żadnej nie spałem prawie w ogóle. Nie dlatego, że nie chciało mi się, czułem zmęczenie i to jeszcze jak, twarde dechy nie pozwalały jednak zmrużyć oka. Moje ciało nawykłe do wygodnych, miękkich łóżek, buntowało się, gdy rozkładałem je na drewnie. Materac, który mi dali, był cienki jak poszewka. Dwa koce złożone razem, były grubsze od niego.

Kobieta ponownie zaczęła płakać po jakichś trzech, czterech godzinach od przyjęcia. Najpierw doszedł nas jej cichy szloch, który powoli zaczął się nasilać, aż w końcu wybuchł kanonadą wielkiej, histerycznej rozpacz.

– Przetrzeźwiała i zobaczyła kraty – skomentował to mój współwięzień – Pewnie nigdy wcześniej nie była w takim miejscu. Baby zawsze dostają tu hysterii.

Jej zawodzenie pobudziło wszystkich (jeśli oczywiście ktoś akurat spał), a na pewno wszystkich niemiłosiernie wkurwiło. Było rozpaczliwe, żalodne, tak bardzo kobiece... Serce

kroilo się, gdy się je słyszało. Pogarszało to jeszcze bardziej i tak zjebany już nastrój każdego z osadzonych.

- Profos! – wydarł się ktoś z głębi korytarza – Profos! Zamknij w końcu tej kurwie mordę!
- Zaraz ją tobie zamknę! – odkrzyknął strażnik.
- Choć tu i naskocz mi na kutasa. Apartament 12. Przyjdź to sobie zatańczymy.

Placz kobiety przeszedł w niemiłosierne wycie. Takie, że aż ciarki przeszły po skórze. W końcu i strażnik chyba nie mógł tego wytrzymać. Usłyszałem jego kroki, podzwanianie kluczy, po chwili drzwi do celi obok otworzyły się.

- Przestań już kobieto! – Profos wydarł się na nią.

Ale ona nie przestała. W ruch poszła więc guma. Znowu raz, dwa, trzy, mocne, miarowe, wyraźne... Kobieta po tych razach przestała głośno płakać. Wciąż jednak szlochała. Po chwili już tylko kwiliła... Jednak klawiszowska guma znów wylądowała na niej. Jedno wyraźne, głuche pacnięcie. Jakby ktoś muchę rozjebał na ścianie.

- No i co...? Ulżyło ci skurwysynu?! – krzyknął Puła.
- To morderczyni. Zabiła kobietę – odpowiedział strażnik.
- Twoją matkę?!
- Nie. Jakaś lekarkę.
- No to się, chuju, od niej odpierdol!

Przez chwilę z niewyraźną miną czekałem na reakcję strażnika. Na zgrzyt zamka, otworenie celi... Puła, patrząc na mnie, pokręcił głową.

- Żaden z nich nie wejdzie do celi w pojedynkę, zwłaszcza, gdy siedzą w niej faceci. Są mocni tylko w gębie i do kobiet – powiedział i odwrócił się na drugi bok.

Dopiero po jakimś czasie kwilenie kobiety całkowicie ucichło. W całym areszcie znów zapadł nocny spokój. Cisza zaległa wszystkie cele.

Powróciły pytania, możliwe odpowiedzi, wyrzuty sumienia...

– Niepotrzebnie otwierałem mordę. Łać mi się chce. A teraz ten klawisz żadnego z nas nie wypuści do kibla – odezwał się jeszcze z półmroku Puła.

Po chwili wstał z desek i odlał się w kącie.

## Kryminał Tango

Fama o nim przeszła przez oddział na kilka dni przed jego przybyciem. Postarali się o to klawisze. Każdy z więźniów mógł się dowiedzieć, z kim to niedługo będzie mieć do czynienia, klawisze sugerowali nawet nasze w stosunku do niego zachowanie. Od razu go, chłopaki, do parkietu mówili, bo jak zacznie fikać, to nie tylko on, ale i wy będziecie mieli przejebane. Tak, panie taki a siaki, zrobi się – zwykle się odpowiadało – potakując ze zrozumieniem głową, taki gigant to pod celą nie jest nam potrzebny. Gdy odchodzili, pluliśmy za ich plecami. I z utęsknieniem oczekiwaliśmy faceta. Bo to był ktoś. Kukułcze jajo, które naczelnicy więzień podrzucali sobie pod byle jakim pretekstem. Bo mieć tego faceta w swoim zakładzie oznaczało dla nich nieustające kłopoty. A dla nas więźniów ciąglą rozrywkę. Tak nam się, w każdym razie, na samym początku, wydawało.

Trafił do naszej celi. Średniego wzrostu, szczupły, z banalną twarzą. Nie wyglądał na wielkoformatowego przeginacza, którego ksywkę klawisze cedzili przez zęby. Raczej na kogoś o spokojnym usposobieniu, kto nawet muchy nie pierdolnąłby packą. Na kogoś, kto co niedziela do kościoła, z żoną pod rękę i gromadką dzieciaków ciągnących za nimi sznureczkiem. Świętość spozierała mu z oczu. Niewinność. Nie mówiąc o łagodności, której ślepia jego były pełne. Wyglądał jak nowicjusz, na którego nigdy jeszcze nie padł cień krat. Aż trudno było uwierzyć, że facet miał już odgibanego dziesiątaka, z dwunastki, którą dostał za morderstwo. Przywitaliśmy go z pompą. Czaj, lepsze żarło z paczkowych dostaw, markowe szlugi. Facet nic nie powiedział, ale na jego gębie było widać, że docenia nasz gest.

Przez pierwsze dni klawisze zaglądali przez naszego judasza częściej niż zwykle. Jakby na coś czekali. Ich ślepia na długie sekundy zamierały w wizjerze, lustrując wnikliwie naszą celę. Szukali choćby cienia inności, choćby najdrobniejszej zmiany jej stałej kompozycji, jakiegoś najlichszego sygnału świadczącego o nadchodzącym zagrożeniu. Jednak za każdym razem ich spojrzenia witał spokój, niczym nie różniący się od spokoju każdego innego dnia. Za każdym razem na odgłos odsłanianego judasza, jak na komendę zamykały się nam mordy i cele zalegała grobowa cisza, która kończyła się, gdy klapka na powrót przysłaśniała wizjer. Normalka. Czas w naszej celi płynął wciąż tym samym leniwym rytmem. Tylko teraz pięć głów odwracało się na odgłos życia po drugiej stronie drzwi. Bo tylko liczebność więźniów była jedyną zmianą, jaka u nas zaszła.

Po tygodniu nadmiernej nerwowej czujności klawisze powoli zaczęli stawać się spokojniejsi. Cisza w naszej celi przygłaskała ich obawy. Uchodziliśmy za spokojnych więźniów. Wszyscy nałogowo czytaliśmy książki, jeden koleś nieźle rysował, a ja z powodzeniem brałem udział w literackich konkursach. Myślę, że właśnie dlatego wsadzili do nas nowego. Może wierzyli, że jakimś cudem nasza zbiorowa, twórcza łagodność podziała leczniczo na jego wrodzoną agresywność. Że może w końcu, po latach tułaczki po zakładach karnych, specyfika naszej celi pomoże mu odnaleźć spokój i wewnętrzną harmonię i w pełni odmieni jego życie, czyniąc z niego innego, lepszego człowieka. Może tak sobie myśleli, a może nie.

W każdym razie ich nadmierne zainteresowanie naszą celą szybko przygasło. A w końcu dopaliło się zupełnie. Powróciła rutyna w wykonywane przez nich obowiązki. Zresztą napięcie i podekscytowanie przybyciem nowego opadło i w nas. Obserwując przez te parę dni jego spokój i opanowanie, i my zaczęliśmy wierzyć w jego nagłą przemianę. Nie był to ten ostry człowiek z opowieści, krążących przed jego przybyciem po więzieniu. Był raczej jak ksiądz bez sutanny, w domowych pieleszach.

Jednak jego wygląd mylił. Kunsztowna fasada pozorów runęła pewnej nocy. Obudził mnie ciepły dotyk w głowę. To, co we śnie było cieniutką strużką wina, które wylewała na mnie młoda, ładna, dorodna kobieta, na jawie okazało się skapującą z góry krwią. Nade mną stał nowy z tłącym się papierosem w ustach.

– Nie śpisz młody? – doszło mnie jego ciche, głupie pytanie.

– Już nie – odparłem, unosząc się na łokciach, tym samym pozwalając krwi nowego rozpląnąć się po całej mojej gębie. Ujrzałem jej źródło. Skapywała z przegubów jego obu dłoni.

– I tak właśnie miałem cię budzić. Rób raban. Czas, żeby mnie powieźli do szpitala na jebanym sygnale – powiedział, zaciągając się głęboko papierosem.

– No młody, szybko, szybko – ponaglił mnie, gdy się nie ruszyłem.

– Krew wycieka ze mnie już od dobrych paru minut.

Wstałem więc z koja i zacząłem łomotać w kłapę. Silnie, miarowo. Po chwili dołączyły do mnie głosy rozbudzonych kumpli, wrzeszczące: „Człowiek umiera! Człowiek umiera!” A po chwili raban ogarnął już cały oddział. Mimo ogólnego harmidru klawisze od razu przybiegli do naszej celi. Nowy pozwolił im się wziąć bez walki, choć słynął z tego, że toczył

z klawiszami zacięte boje, gdy ci chcieli mu ratować życie. Tym razem był już chyba jednak za słaby na szamotanie z nimi.

Następnego dnia klawisze przetrzepali nam celę. Kipisz był bardzo szczegółowy i trwał dobre pół godziny. Zabrali wszystko, co było w niej nielegalne, nawet to, na co zwykle przymykali oko. Zabrali nawet zrobioną z mojek i kabelków grzałkę do parzenia czaju. Była ukryta w podłodze w skrytce wydrążonej w betonie.

Po tym numerze pełnym krwi, której smak czuję w ustach do dzisiaj, zrozumieliśmy to, przed czym ostrzegali nas klawisze. Ten nagły kipisz kabaryny nie był przypadkowy. Był karą za to, że nie potrafiliśmy utemperować nowego. Za to, że pozwoliliśmy mu jednak rozwinąć skrzydła. Tego dnia, gdy strażnicy przewracali nam celę do góry nogami, zrozumieliśmy, że odtąd wszyscy będziemy ponosić przykre konsekwencje wszelkich jego wybryków. To, co miało sprawiać nam rozrywkę, tak naprawdę miało stać się naszym przekleństwem. Po tym pierwszym przegięciu zrozumieliśmy też prawdziwy sens pseudonimu nowego, którego dotychczas nie używaliśmy, a który dopiero wtedy nabrał w naszych uszach właściwej treści. To nie było już tylko słowo nie pasujące do jego łagodnego oblicza. Tak, ksywka: Psychol pasowała do niego jak ulał. Idealnie wyrażała jego osobowość ukrytą za pozorami, w których czynieniu był mistrzem.

Ze szpitala wrócił po trzech dniach. Z uśmiechem na twarzy. Z obandażowanymi rękami. Nic nie powiedział. Rzucił się tylko na swoje kojo. My również milczeliśmy. Bo, o czym mieliśmy gadać. Wszystko już było wiadomo.

Na drugi numer Psychola nie czekaliśmy długo. Którejś nocy znów dziki wrzask z naszej celi rozproszył ciszę. Tym razem nie ja wszcząłem raban. Ten zaszczyt przypadł komuś innemu. Gdy otworzyłem oczy, zapalono już na oddziale światło, w pełni, więc mogłem docenić klasę tego przegięcia. A było, na co popatrzeć. Zachlapane niuchą ściany wyglądały jak jakieś awangardowe dzieło sztuki, całe w kropki i plamy i czerwone odciski dłoni. Nacętkowana plamami krwi była również pościel na kojach i wszystkie sprzęty, które znajdowały się w celi. Psychol siedział na swym koju, oparty plecami o ścianę, trzymając się rękoma za brzuch. Jego dłonie lepiły się od krwi przepływającej mu przez palce. Coś mu przez nie prześwitywało. Ale dopiero po chwili dostrzegłem, co. Były to jego oślizgłe flaki, lśniące w świetle. Parujące, pachnące ostro wnętrzności, które próbował zatrzymać w sobie.

Całą czwórką stanęliśmy wokół koja Psychola, chłonąc oczami ten widok, który nieczęsto oglądać się zdarzało. Chlastanie się mojka po brzuchu należało do najbardziej ryzykownych przегięć, na które decydowali się tylko nieliczni. Przeważnie tacy, którym już wszystko koło chuja latało. Skazani na dożywocie lub na kosmiczne, dwucyfrowe wyroki. Na pewno nie tacy, którym pozostało do odsiedzenia jeszcze dwa lata. Chyba, że chorzy psychicznie. Widać, Psychol miał o wiele bardziej zepsutą głowę. Bardziej niż się każdemu wydawało. Z tego, co słyszałem, próbowano go kiedyś po jakimś większym przегięciu umieścić w wariatkowie, ale biegli psychiatrzy jakoś nie mogli się doszukać w tym jego cabanie anomalii. Pozory normalności, jakie czynił, musiały więc być naprawdę najwyższego lotu.

Klawisze wpadli do celi w pełni przygotowani. Nawet dyżurujący więzienny łapiduch, mimo późnej nocy, przybiegł w swoim rzeźnickim kitlu. Nim wyjebali nas z celi na korytarz, zobaczyłem jak Psychol z uśmiechem na ustach puszcza swój bebech, pozwalając jelitom wylać się na zewnątrz. I usłyszałem przekleństwa gadów i zobaczyłem jeszcze lekarza, który ręką próbował mu te flaki wsadzić z powrotem do środka.

Po tej nocnej imprezie administracja znowu nas ukarała. Już z samego rana rozpoczęły się represje. Dobrali się nam do dupy, jakby to wszystko było naszą winą. Zaczęli od kipiszu, który jednak nie zdał się na zbyt wiele, bo przez te kilka dni od ostatniego niewiele zdołaliśmy skojarzyć nielegalnych rzeczy. Dobrali się też do michy, zabierając nam na dwa tygodnie drugie danie. I do spacerów, ograniczając nam dreptania do pół godziny na dobę. Ale nie to było najdotkliwsze. Kumplowi, który rysował, zabrali na czas nieokreślony blok i ołówek, mnie cały zapas papieru i przybory do pisania. To całkowicie rozłożyło nas na łopatki.

Psychol powrócił po miesiącu, chociaż wyglądało na to, że nie przeżyje tego przегięcia. Gdy go zabierali z celi, wyglądał naprawdę źle. Jak stuprocentowy kandydat na trupa. Jednak jakimś cudem wyszedł z tego. I znowu wkniajął pod celę z rozradowaną facjatą. O dobrych piętnaście kilo chudszy, blade jak ściana, ale szczęśliwy. Wyglądał jak bardzo zły uczeń, któremu mimo wszystko udało się ukończyć szkołę.

Kilka dni po jego tryumfalnym powrocie ze szpitala wezwał mnie Naczelnik. Mimo że byłem najmłodszy, pełniłem funkcję starszego celi. Kumple wrobili mnie w to niewdzięczne zajęcie.

Naczelnik był gościem do rzeczy, miałem już z nim kilkakrotnie do czynienia. Do każdego z dobrym słowem i uśmiechem. Nawet do cweli przemawiał jak do ludzi, mimo że nawet klawisze traktowali ich jak zwierzęta.

– Siadaj Rutkowski, pogadamy – od razu do mnie, gdy tylko przekroczyłem próg jego gabinetu. Bez nazwiska, numeru, wszystkich tych formalności.

– Wiesz, po co cię wezwałem? – zapytał.

– Nie wiem, panie Naczelniku – odparłem, chociaż domyślałem się dlaczego.

– Powodem jest Zawada – rzekł i słowa te zwisły na długą chwilę nad naszymi głowami. Zawada to było nazwisko Psychola. Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

– Trzeba nauczyć go dobrego wychowania, Rutkowski. Wszyscy mamy przez niego kłopoty. Musicie przemówić mu do rozumu. Bo inaczej do końca jego odsiadki będziecie ponosić kary za jego numery.

– Nie da rady, panie Naczelniku. Psychol to twardy gość. Morderca. Boimy się go. Nigdy nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– A wy to, kto niby jesteście? – on do mnie – Ułomki? – To naprawdę duży twardziel. Sam pan wie, co on wyprawia. Nie szanuje życia. Balansuje na samej krawędzi. Nawet porządny wpierdol nic tu nie da.

– Nie wierzę, że takie chłopaki jak wy nie potrafią poradzić sobie z jednym mizernym typkiem. W końcu tu również i o wasze dobro chodzi. Cierpicie przez niego. Spotykają was niesłuszne kary. Nie wierzę, że nie możecie dać mu rady. Przecież – przybliżył się do mnie ponad biurkiem, a jego głos przeszedł w konfidencjonalny szept – Przecież oprócz grózb i łomotów istnieją też inne s p o s o b y...

– Jakie, panie Naczelniku – przypaliłem głupa. Uśmiechnął się tajemniczo.

– Wy już dobrze wiecie, jakie. Rozumiemy się Rutkowski?

– Owszem, panie Naczelniku – odparłem cicho po chwili i z pochyloną głową opuściłem jego gabinet.

Godzinę później szeptem zrelacjonowałem chłopakom moją z nim pogawędkę, korzystając z tego, że Psychol uderzył w kimę. Bo on po tym ostatnim przegięciu dużo sypiał. Widać jego organizm po szpitalu potrzebował jeszcze odpoczynku. Chłopaki wysłuchali mnie w spokoju.

Dyskusja trwała krótko. Decyzja zapadła jednogłośnie. Bezlitosna i drastyczna. Ogólną zgodę przypieczętowaliśmy skinieniami głowy. Teraz trzeba było tylko poczekać na sprzyjającą okoliczność.

A taka nieszybko nadeszła. Po tym swoim wielkoformatowym numerze Psychol spuścił z tonu. Wyciszył się całkowicie. Powrócił do stanu wyjściowego, to znaczy odgrywania świętoszka. Niewinność patrzyła mu z oczu, jak jakiemś małemu dziecku oskarżonemu o zjedzenie kremu z weselnego tortu. Całkowita metamorfoza. W jego ślepiach nie było już ani krzty szaleństwa, które w pełni lśniło w nich po każdym pochlastaniu mojką. Znowu wyglądał jak ktoś niewinnie skazany, płaczący za wolnością po kątach. Jak nędza i rozpacz godna najgorszego frajera.

Od drugiego przegięcia Psychola kipsiz mieliśmy średnio dwa razy w tygodniu. Gady rutynowo już robiły nam bałagan w celi, chociaż dobrze wiedzieli, że już i tak niczego zabronionego nie znajdują. Robili tylko niezły bajzel, który potem trzeba było sprzątać. Z obiadów zdjęli nam karę, ale spacerowały mieliśmy w dalszym ciągu okrojone. Również swojej twórczości dalej nie mogliśmy uprawiać. Tycim kawałkiem ołówka, który udało mi się zakitrować, co prawda zapisywałem krótkie teksty na marginesach kartek w książkach, których na szczęście za karę mi nie zabrali, ale w żaden sposób nie mogłem zaspokoić tym swoich pisarskich potrzeb. I kontrolowali nas też znacznie częściej. Średnio trzy razy na godzinę podnosiło się w klapie wieczko judasza. Kilka razy nawet mieliśmy niezapowiedziane wizyty Naczelnika. Powodem oficjalnym były rutynowe kontrole. Ale ja wiedziałem, co się naprawdę za tym kryło. Upewniało mnie w tym pytające spojrzenie Naczelnika, którym za każdym razem, na długie chwile obdarzał mnie podczas tych wizyt.

W końcu ku naszej niemej radości, Psychol zaczął stawać się niespokojny. Wydobrał na tyle, że nie było już widać niedawnego bliskiego spotkania z kostuchą. Czuło się, że już długo nie wytrzyma. Że już jakiś kolejny większy numer chodził mu po głowie.

Jego szaleństwo ponownie objawiło się pewnego wieczora. Tym razem jednak nie zniecka, jak w dwóch poprzednich razach, ale z kilkugodzinnym wyprzedzeniem. Gdy jeszcze paliło się światło, rozpoczął przygotowania do nocnego występu. Jak nigdy. Zaczął robić to na naszych oczach. Pociął prześcieradło na małe paski i upłócił z nich postronek. Solidny. W sam raz, żeby na nim zadyndać. – Dziś w nocy te pierdolone gady nie będą drzemać w fotelach –

powiedział tylko do nas, widząc nasze pytające miny. I tyle nam wystarczyło. My również rozpoczęliśmy przygotowania do nocy.

Na pół godziny przed zgaszeniem świateł Psychol wprowadził nas w swój plan. Był prosty. Psychol miał się rzucić na sznur, a my mieliśmy, jak zwykle, zrobić raban, dbając jednocześnie o to, żeby Psychol rzeczywiście nie przekreślił się na tym sznurze.

– Już to kiedyś robiłem – powiedział. – Jeśli pętla jest odpowiednio gruba, to zaciskając się na szyi, nie dusi od razu. – Można tak przewiesić parę minut. Człowiek sinieje i się dusi, ale kończy się tylko na niegroźnym uszkodzeniu kręgosłupa. Ale to przegięcie zespołowe. Solo naprawdę wykituję.

Kilka minut po północy przymocował postronek do krat w oknie. Bez widocznego strachu stanął na podstawionym pod okno stołku i nałożył sobie stryczek na szyję. Chwilę jeszcze powstał pośród całkowitej złowróznej ciszy, w ciemności nikle rozświetlonej blaskiem latarni, wpadającym przez okno z więziennego dziedzińca. Potem przytrzymując się rękami krat odtrącił stołek i wciąż przytrzymując się okna, delikatnie opuścił się w dół, napinając ten przymocowany do karku prowizoryczny powróż. W końcu jego ręce odważnie puściły się krat, lina lekko szarpnęła i napięła całkowicie i rozpoczęła się walka jego organizmu o hausty powietrza. Patrzyliśmy jak szamocze się na tej szubienicy, młóćąc powietrze rękami i nogami. Bujał się na tym prześcieradlanym sznurze na wszystkie strony. Poczekaliśmy jakiś czas, ale nic się nie stało. Wciąż żył. Choć był już pewnie najwyższy czas na raban, nic nie robiliśmy. Milcząc, siedzieliśmy tylko nieruchomo na swych kojach, obojętnie przypatrując się temu tańcowi ze śmiercią. Temu chaotycznemu kryminał tango, które miało już być jego ostatnim.

Oczekaliśmy jeszcze minutę, która dłużyła się w nieskończoność, ale w dalszym ciągu śmierć nie mogła go pokonać. Szamotał się na tym sznurze, objijając się o ścianę. Urywany syk z jego ust, powodowany powietrzem z trudem przedzierającym się przez gardło, stawał się coraz cichszy. Ale w dalszym ciągu było go słyhać. W końcu nie mogąc już znieść tego oczekiwania, pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, podszedłem do niego, złapałem go za podrygujące ramiona i całym sobą uwiesiłem się na nim. Jego bezbronnym ciałem wstrząsnął przedśmiertny skurcz. Wyraźnie go poczułem. Sekundę potem, po trzasku łamanego karku, całkowicie zastygło w nim życie.

Postanowiliśmy tej nocy nie meldować o trupie. Dopiero rano do pierwszej michy. Pozostawiliśmy Psychola zwisającego z okna i położyliśmy się do łóżek. Pośród ciemności zapłonęły nerwowo papierosy. Od jutra wszystko już miało powrócić do normy.

## Nadziany Frajer

Mówię ci, młody, nawet tu za kratami zaszły wielkie zmiany. Wszystko przez pieniądz. Tak, młody, siano nawet tutaj przewracało ludziom w głowach. Kto je ma, jest kimś. Tak jak na wolności. Nie masz go, jesteś nikim. Nawet jeśli grypsujesz. Nawet wtedy. Mówię ci, kurwa, świat przewraca się do góry nogami. Kiedyś coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Weźmy chociażby ciebie. Jesteś przykładem tego, co już zamiera, całego naszego rytuału przyjmowania ludzi. Gdy tu trafiłeś, byłeś młody i głupi, ale niczego się nie peniałeś i miałeś charakter. Niczego nie żałowałeś i przed nikim nie obiecywałeś poprawy. Bo wiedziałeś, że nic, nawet te parę lat w zamknięciu nie zdoła wyplenić z ciebie złodziejskiego nasienia. Żadne resocjalizacyjne programy, ani te inne chuje-muje. Na gębie miałeś wypisane, że urodziłeś się złodziejem i złodziejem zdechniesz tak, jak przystało na człowieka. Dlatego przyjęliśmy cię do swojego elitarnego grona, mimo że byłeś zielony i tyle wiedziałeś o prawdziwym grypsowaniu, co kurwa spod latarni o byciu zakonnicą. Miałeś jednak to coś, czyniło cię wyjątkowym i co kwalifikowało cię do przystania do nas. Tak, młody, właśnie charakter... Bo tylko dobry charakter jest do nas przepustką.

Ale tradycja powoli się zmienia. Sam charakter zaczyna już gównie znaczyć. Teraz już zaczyna się liczyć co innego – pieniądz. Tak, młody, szmal. Szmal nawet tutaj, gdzie cały wikt zapewnia państwo, staje się podstawą bytu. Nie wierzysz, co? Nie wierzysz? Skoro nie wierzysz, to posłuchaj...

Trafił kiedyś na oddział, piętro niżej, taki jeden, co na wolności robił lewe interesy na dużą skalę. Wiesz, jeden z tych nowoczesnych złodziei z wykształceniem, który do roboty nie używał brechy, ale komputera. Taki Baksik w wydaniu wojewódzkim. Był młody i wystraszony. W okularach ze szklami jak denka od butelek po mleku i klatką piersiową jak puste opakowanie po landrynkach. Mówię ci, istnie pożał się Boże... Sam wiesz, że ktoś, kto tak wygląda, ma tu przejebane od samego początku. Weź choćby tego księgowego, którego wsadzili za przewały na rachunkach. No wiesz, tego z drugiego oddziału, co ojebał swój zakład na grubym szmalu? No, tego, którego pokazywali w telewizji? Wyglądał zupełnie tak samo. Chłopaki przerznęli mu dupę już po tygodniu. Tego zapewne spotkałoby to samo, ale jebana matka opatrność czuwała nad nim od samego początku. Facet chyba czuł, że jeśli nie stanie się szybko jakiś cud, to długo się tu nie utrzyma, a już na pewno nie zachowa do końca

odsiadki swojego dziewictwa. Wiedział też, że na taki cud zwyczajny, boski znaczy się, nie miał, co liczyć, bo one może i się zdarzają na wolności, jakimś tam pastuszkom na łące, ale nie w więzieniu i to łysiejącym, wychudzonym palantom, wsadzonym do kryminału za malwersacje. Postanowił więc sam sobie stworzyć taki cud. I udało mu się. Stworzył go sobie, skubany, już na wejściu. Wszedł za mury mając ze sobą wszechmogącego Boga. Tak, młody, Boga... Bo jak inaczej można tu nazwać portfel wypchany sałatą o największym w tym kraju nominale? Portfelem z pieniędzmi? Nie, młody, to była sama Bozia, która dla niepoznaki przyjęła postać zwitka banknotów... Bozia, która miała malwersantowi zapewnić za murami spokojniutkie życie.

Od wejścia zaczął szastać szmałem na lewo i prawo. Bańka za uśmiech i przyjacielski gest, bańka za dobre słowo. Chłopaki pogłupieli. A razem z nimi klawisze. Ten okularnik miał w tym swoim portfelu więcej szmału niż gad zarabiał przez rok. Zresztą jestem pewien, że trafiając za kratki wszedł z klawiszami w układ, a może nawet i z samym Naczelnikiem, skoro tak oficjalnie szastał tymi pieniędzmi. Wiesz, jakie są przepisy. Sam wiesz. Porządnemu złodziejowi, który przez całe życie harował brechą w pocie czoła, te pierdolone gadziny nie pozwalają trzymać w celi nawet złotówki. A ten frajer na legalu wniósł taką gotówkę. Musiał więc mieć z nimi jakiś układ. Nie ma chuja.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy przyszedł, przyleciała za nim pod celę paczka. Mówię ci, młody, ta rakietka wyglądała jakby zawierała pralkę, a nie artykuły żywnościowe. Była wielka i ciężka. A w niej same cuda. Konserwy, soki w kartonach i bez liku ramek zagranicznych papierosów. A były to czasy, kiedy komuna nie wyprowadziła się jeszcze na dobre z naszego kraju, a tym bardziej nie z naszych więzień. Wtedy jeszcze nie było tak, jak teraz. Rygor był większy. I o paczkę było trudniej. Jeśli już jakieś do kogoś przychodziły, były ubogie jak rodziny, które je wysyłały. Jakieś obrzydliwe konserwy państwowych zakładów mięsnych, kilka ramek Sportów, ze dwa słoiki smalcu własnej roboty. A jeśli nawet było w nich coś lepszego, to i tak taki towar nigdy nie trafiał pod celę, bo go zgarniali klawisze. Kiedyś bezkarnie mogli opierdolić ci paczkę i jedyne, co mogłeś zrobić, to bluznąć im w myślach i zapłakać. Teraz klawisze boją się wziąć z paczki cokolwiek. Ale kiedyś, jeszcze parę lat temu, mogłeś im naskoczyć, jeśli połapałeś się, że coś ci z paczki zwędzili. A nie daj Boże zakablowałeś o tym do Naczelnika. Wtedy miałeś u klawiszy przejebane gorzej niż cwel ma u nas. Dopierdalali się do ciebie o byle co i za cholere nie dawali ci żyć. Teraz może nie jest lepiej, ale przynajmniej paczki docierają pod cele w całości. Chociaż tyle dobrego mamy z tej

demokracji. Przynajmniej nie mogą nas już gady bezkarnie okradać. Mówię ci, młody, czego to nie było w tej rakiecie. Same rarytasy. Baltony i peweksy. Teraz to wszystko można kupić w byle jakim sklepie, ale wtedy takie dobra były dostępne tylko dla nielicznych i to za walutę wymienialną. Chłopaki z celi, do której ten malwersant trafił, starzy zgredzi, którzy z niejednego więziennego pieca szamali chleb, patrzyli na te wszystkie fikuśne dobra wprost zza berlińskiego muru i oczy im wychodziły na wierzch, a ociekające śliną jęzory zwisały im do podłogi. Mówię ci, facet wiedział jak zrobić sobie wejście. Mimo że wyglądał jak stuprocentowy kandydat na cwela, łeb miał na miejscu. I umiał z niego skorzystać. Potrafił czaszkować, jak mało kto. Od razu rozdał połowę tego, co dostał. Skapnęło nie tylko tym z jego celi, ale i chłopakom na całym oddziale. Miał szeroki gest, to się spodobało. Fakt, że wataha czuła, że gość tym wniesionym wianem chce się tylko porządnie przypuścić, ale smak zachodnich papierosów i wypchane niemieckimi konserwami żołądki, kazały przymknąć im oczy na to jawne lizanie ich tyłków. Chłopaki po prostu pomyśleli o przyszłości. Facet dostał trzy lata. Trzydzieści sześć miesięcy. Rachunek był prosty. Trzydzieści sześć paczek pełnych zachodniego delikatesu. Przytulając tego palanta do swojej gryperskiej piersi, chłopaki najnormalniej na świecie zainwestowali w przyszłość.

Oplaciło im się. Mówię ci młody, oplaciło im się i to jeszcze jak. Te paczki to nie przychodziły do niego raz na miesiąc, ale ze dwa, trzy razy, wszystkie pełne żarła i fajek, w takiej ilości, że w żaden sposób malwersant sam nie mógłby ich przejeść i przepalić. Trzeba mu było pomóc. Mówię ci, młody, to były czasy. Gdzie tam jakieś sporty, popularne, marlboro się paliło, wielbłądy. Gdy po jakimś czasie sztachnąłeś się jakimś polskim wyrobem, rzygać się chciało. Mówię ci... Tak wtedy było dobrze. Nawet klawisze pozamieniali klubowe na zagraniczniki. Nawet oni na tych regularnych dostawach spoza muru korzystali.

Już w pierwszym tygodniu swej odsiadki, facet załatwił sobie u Naczelnika pozwolenie na posiadanie w celi telewizora i wideo. Poniemajesz? Na samym starcie pozwolili mu mieć w celi całe to sprzęcicho. A wiesz jak trudno jest uzyskać na to zgodę. Nawet dzisiaj, kiedy tyle się zmieniło. Wciąż, żeby ją dostać, trzeba albo kablować i wszelkimi sposobami włożyć w dupę Naczelnikowi i klawiszom, albo przemawiać do nich językiem finansowym, a i tak nie dostaje się tej zgody od tak od razu, hop-siup, ledwie po kilku dniach kiblowania. A jemu się udało... Musiał skurwysyn nieźle posmarować Naczelnikowi tę jego i tak już klejącą się od przekrętów łapkę. Fakt faktem, malwersant pierwszego tygodnia swojej odsiadki miał w celi

kolorowy telewizor na pilota i wideo razem z całą furą kaset. To już całkowicie zamknęło mordy jego zgredom z kabaryny. Ten frajer był dla nich kurą znoszącą złote jajka.

No i co, młody, sam widzisz, że mając siano można sobie kupić w więzieniu pozycję. Nawet jeśli się wygląda jak pół dupy zza krzaka. Teraz dzięki kapuście, każdy frajer może szamać z człowiekiem przy jednym stole. Nie powiem, nie żyło nam się wtedy źle. Nawet my tutaj, piętro wyżej, mieliśmy coś z tego dobrobytu, który tam na dole panoszył się po całym oddziale. Wiesz, jak jest. Znasz chłopaków. Są ludzie i ludziska. Jedni szczerzy i z gestem, drudzy chytry i pazerni. Dzięki tym pierwszym, nawet my na tym oddziale mieliśmy od czasu do czasu świeże dostawy. Przeważnie fajki, czasami też jakieś lepsze konserwy. Wystarczyło tego, żeby czuć się kontent. Ale mimo tego całego dolce vita, byli wśród nas tacy, którzy nie zapomnieli, kim tak naprawdę jest nasz dobroczyńca. A on był nikim... Zwykłym frajerem. Tylko pod czasową ochroną, którą zapewniały mu jego pieniądze. Bo gdyby nie one, to każdy więzień w dupsku tego frajera pewnie już dawno umoczyłby pytel. Szmal był jego glejtem do pozostania w świecie mężczyzn.

Trzy lata, które dostał ten frajerzyna, minęły jak z bicza strzelił. Gdzieś miesiąc przed wyjściem zaczął się powoli szykować do wypiski. Przede wszystkim zaczął rozdzielać swój majątek. A jak na więźnia to miał całkiem pokaźny. Wiedział, że nigdy nie wolno palić za sobą mostów albo przeczuwał, że jeszcze tu wróci. W każdym razie zaczął zaklepywać różnym ludziom różne rzeczy ze swego wcale nieskromnego dobytku. A więc jednemu po jego wyjściu miała przypaść elektryczna golarka, drugiemu japoński samograj, trzeciemu jeszcze coś innego, w sumie każdemu z tych, którzy przez cały czas trzymali się blisko niego miało coś skapnąć. Telewizor i wideo, najwartościowsze przedmioty, miał dostać stary, kurewsko narwany recydens, który w tamtym czasie trzymał oddział żelazną łapą. Bali się go wszyscy, więc nikt nie wnosił sprzeciwu, co do takiego jego udziału w całym podziale dóbr materialnych.

Nadszedł w końcu dzień frajerskiej wypiski. Już od samego rana malwersant przygotowywał się do tej wielkiej chwili. Porozdawał to, co poobiecował, a potem czekał niecierpliwie aż dobry klawisz wyprowadzi go poza mur. A wiesz, młody, jak to jest z tymi wypiskami. Niektórzy klawisze, ci najbardziej wredni, potrafią cię wtedy przytrzymać w celi niemiłosiernie długo, ot tak, z czystej złośliwości i przyjść po ciebie dopiero przed samym końcem wypisek, kiedy jesteś już zielony z wkurwienia, a ręce i nogi drżą ci nerwowo,

i zaczynasz się już zastanawiać, czy aby nagle coś nowego nie wypłynęło z twojego złodziejskiego życia naienne światelko, i czy aby nie cofnęli ci wolnościowego biletu. Znasz te opowieści o chłopakach, których cofano sprzed bramy, bo w ostatniej chwili zawieszano im warunkowe? Znasz, słyszałeś, gibasz już trochę. Takie rzeczy się zdarzają. Kurewskie życie więźnia jest pełne takich brutalnych niespodzianek.

I właśnie jedna z takich niespodzianek spotkała tego frajera. Prawie po całym dniu oczekiwania na wyjście, jakiś klawisz oznajmił mu w końcu, że wielki chuj z jego wypiski, bo jakiś nadgorliwy prokurator odnalazł jakieś nowe dowody, że w tej sprawie, za którą go skazali, podpierdolił o wiele więcej, niż ta suma, za którą go sądzono i że wolności to on raczej za szybko nie zobaczy. Podobno facet wtedy zemdłał... Zwalił się na betonkę jak kłoda... Nie ma co się dziwić... Taka nieoczekiwana wiadomość, nawet największego twardziela zwaliłaby z nóg.

Płakał i rozpaczał przez parę dni. Mazał się jak dziecko. Łaził z kąta w kąt z zachlapaną facjatą, pochlipując. Ale w końcu zaczął dochodzić do siebie. Powoli powracał do rutyny więziennego życia, chcąc je sobie ułożyć po staremu. Pewnie bez problemu by mu się to udało i brać gryperska z powrotem przyjęłaby go na swoje opiekuńcze, prawie matczyne łono, ale facetowi ten wstrząs z wyjściówką nieźle poprzestawiał w łepetynie. Zaczął domagać się zwrotu swoich rzeczy. Poniemajesz?! Zażądał zwrotu wszystkiego. Telewizora, widlaka, nawet ciuchów, które również porozdawał. Znasz zasady, znasz rządzące celami prawo – dałeś, już nie twoje; ale on był niemiłosiernie upierdliwy i marudny. Facet chyba tak sobie czaszkował, że skoro go nie wypuścili, to akty darowizny automatycznie zostały unieważnione. Nie kapował niczego. Upominał się o swoje i upominał, a kiedy w końcu dotarło do niego, że gównu z powrotem dostanie, zrobił najgłupszą rzecz, jaką mógł zrobić, bo zwrócił się o pomoc do administracji. Widać, niczego się nie nauczył przez te trzy lata. A dobrze wiedział, jak traktujemy kapusi. Przez te parę lat widział to i owo... Może myślał, że skoro dzielił się z nami tymi wszystkimi paczkami, nic mu nie zrobimy? Nie wiem. Głupi był. Tutaj nie istnieją sentymenty. Najpierw wpierdolili mu chłopaki z jego własnej celi, potem podrzucono to, co z niego zostało do świetlicy, a tam poprawkę naniosła mu cała złodziejska wataha. Dziesiątka więziennych łapci przez dobrych kilka minut kopało go, gdzie popadnie. Podobno ktoś nawet ściągnął mu sztany i badeje i szykował się, żeby go przecwelić, ale przeszkodził w tym najazd klawiszy. Wparowali w ostatniej chwili. Gdy rozpedzili chłopaków, ujrzeli okopane dupsko frajera, całe już lśniące od kremu. Przygotowane do

wyruchania, jak należy. Jeszcze minuta i zostałby frajer rozprawiczony. Sam widzisz, młody, jaki los potrafi być zmienny. Jak niewiele trzeba, żeby go całkowicie odwrócić. Gość raz jeden tylko okazał się głupi. Bardzo głupi. Jeden jedyny raz. A za głupotę tutaj tak właśnie się płaci. Ciężkim zgłanowaniem i zgwałceniem. Bo nie ma dla głupiego frajera żadnej litości. Chuj takiemu w dupę.

Jeszcze tego samego dnia administracja zrobiła we wszystkich celach tamtego oddziału ostry kipisz. Szukali wideo i telewizora. Przez cały dzień przetrzepywali oddział. Tak jak się pewnie domyślasz, nic nie znaleźli. Wiesz, jak jest, znasz temat. Gdyby tylko było trzeba, potrafilibyśmy zakitrować w celach rozebrany na części motor, a co tam dopiero wideo i telewizor. Trzydzieści pięć cel. Ponad stu chłopów. A prawie każdy skazaniec zna jakieś miejsce, w którym można coś ukryć.

Pytasz się, co się stało z tym frajerem? Nic. Przeżył. Pobyl trochę w szpitalu, a potem trafił na ochronkę. Do zboczeńców. Tam też się ustawił. Paczki przychodziły do niego nadal, więc nawet oni nie zerznąli mu dupy.

**Zobacz pełną wersję ebooka**



<http://www.escapemag.pl/119261-kryminal-tango-ebook>